Styczeń 2014

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

199

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

WYJAZD KONDYCYJNY

KURSU 2013

I się wydarzyło. W marcu 2013 r. wydawało się, że styczeń 2014 nadejdzie wprawdzie, ale „kiedyś". Że czasu jest tyle, tyyyyle. Tymczasem dziesięć miesięcy minęło jak z bicza strzelił i przyszło nam zmierzyć się z własnymi słabościami. Właściwie tylko z nimi, bo warunki atmosferyczne zachęcały raczej niż zniechęcały do marszu. Iście wiosenna pogoda dodawała nam skrzydeł (dlatego właśnie z taką radością dochodziliśmy do naszych celów naokoło i z ominięciem szlaków)!

17 stycznia 2014 r. o godzinie 22:30 pod dowództwem Rafała Langrzyka w trasę wyruszyło troje kursantów: Gosia Uman, Ania Szczepanek i Adam Gruca. Harnasiową równowagę liczebną (względem kursantów) pomagali zachować Metzger i Jarek Rak. Na mecie – bardzo jeszcze wtedy odległej – czekały na nas z pysznymi kotletami i jeszcze pyszniejszym ciastem Bobcia i Asia Śliwa, a miłą niespodziankę, w postaci swojej obecności, zrobili też Herman i Świstak. Ale najpierw trzeba było iść. I iść. I iść.

Mimo zalecenia nie wzięliśmy wszystkich map z terenu uprawnień. Bieszczady zostawiliśmy w domu, uznając, że w razie czego pójdziemy na żywioł (albo, że „przecież kto inny weźmie właśnie tę mapę"). I choć do Beskidu Niskiego włącznie byliśmy doskonale wyposażeni, w drogę wyruszyliśmy znacznie wcześniej niż z Krynicy czy z Komańczy. Komenda: „Wysiadamy!" padła tuż przed Żywcem.

Najdokładniej poznaliśmy okolice Grojca. Nie tylko weszliśmy na tę górę (dopiero po tym, kiedy już w dużej mierze ją obeszliśmy), ale też przy zejściu do Juszczyny poznaliśmy dogłębnie porastające ją lasy. Droga na Juszczynkę, a potem, przed świtem do Przełęczy u Poloka nie obfitowała już w tyle wrażeń. Wesoło natomiast zrobiło się później, kiedy z Jeleśni skierowaliśmy się na Lasek. Tu znów wróciliśmy do dawnej „formy", dzięki czemu do Chatki Elektryków doszliśmy w dość oryginalny sposób. Po zejściu Koszarawskim Groniem do Lachowic spłynęły na nas nowe siły, bo wmówiliśmy sobie (wersja Harnasi)/bo nas wpuszczono w maliny i niecnie z nas zażartowano (nasza wersja), że meta będzie na Adamach. Impet i pęd zgasły, gdy nad chatką dowiedzieliśmy się, że jednak nie ona jest naszym celem i że idziemy dalej. A kiedy usłyszeliśmy, że kierujemy się w stronę Zawoi, było nam już wszystko jedno, co dalej. Do tego stopnia, że gdyby nam kazano wchodzić na Diablak, pewnie bez słowa byśmy na niego weszli.

W Stryszawie, 22 godziny po wyjściu z Żywca, okazało się, że to już wszystko. Że finto. Że dalej niż do tamtejszego SSM-u iść nie musimy. Że przeszliśmy ten długo wyczekiwany kondycyjny i że za kolejne dziesięć miesięcy, które miną tak samo szybko, czeka nas dużo większy sprawdzian…

Ania Szczepanek

SYLWESTER NA UKRAINIE

Świdowiec i Czarnohora w zimę stulecia

Pomysł pojawił się już w październiku. Makak zasugerowała, że można by pojechać w Czarnohorę, a wszyscy z radością podchwycili tę myśl. „Sylwester w górach Ukrainy – to będzie wyprawa! Odmrozi nas, zasypie, przewieje, a my będziemy brnąć przez śniegi mimo wszystko!". O tak, byliśmy podekscytowani wizją spędzenia srogiej zimy na Wschodzie. Może nie aż tak dalekim, ale w Karpatach Wschodnich, a i owszem.

Z czasem wizja wyjazdu ewoluowała. Zastanawiać zaczęliśmy się nad ewentualną zmianą „docelowego" pasma. Kusił Świdowiec, nęciły Gorgany, a połoniny Krasna i Borżawa przypominały, że po nich też można chodzić. W końcu trzeba było zdecydować się na jedno. Albo na dwa. Ale na pewno nie na pięć w osiem dni, w tym sześć dni chodzenia. Dzięki atrakcyjnej bazie noclegowej (potencjalnie dużej ilości bacówek po drodze) wygrał Świdowiec – na pół wyjazdu – i Czarnohora, choć już z nie tak pewnymi bacówkami (ale co tam, namioty przecież i tak ze sobą zabieraliśmy) – na drugie pół.

Koniec końców pojechało nas siedmioro: Bobcia, Makak, Ania Sz., Huchel, Mroku, Metzger i Stachu. Przygotowania były solidne – jeszcze dzień przed Wigilią, o godzinie 20:00, jeździliśmy po Śląsku w poszukiwaniu ostatnich dwóch par rakiet (najtańszych ze sklepu na D., droższe pewnie by się znalazło szybciej). Bo przecież wyjazd bez rakiet na mroźną, pełną zasp i lawin Ukrainę nie miałby sensu! Kompletowaliśmy więc sprzęt, przygotowywaliśmy się psychicznie na ciężkie warunki i robiliśmy plany B i C w razie gdyby okazało się, że nawet krótkie trasy będą trudne do przejścia ze względu na pogodę. Jedzenia na 4 dni starczyło nam na 8. Trasa wyglądała tak:

Dzień I: Świdowiec. Wyjście z Rachowa, wbicie się na grzbiet i spacer niebieskim szlakiem na Połoninę Perelisok. Nocleg w bacówce oddalonej nie tak znów wiele od (czynnej!) turbazy Perelisok (na marginesie: poza jednym wyjątkiem znaleźliśmy wszystkie bacówki zaznaczone na najnowszej mapie Czarnohory z Ruthenusa; mapa uwzględnia najbardziej na wschód wysunięte pasmo Świdowca). Pogoda piękna. Rakiety założyliśmy głównie po to, żeby ich nie nosić na plecach i żeby nie było, że przejechaliśmy z nimi tyle kilometrów na darmo. Odczuwaliśmy też nieco zmęczenie.

Albo i bardziej niż „nieco", bo w drodze byliśmy od dwóch dni. Do Lwowa jechaliśmy standardowo (bus do Przemyśla – Medyka – przejście piesze do Szegini – Lwów; dopiero po fakcie wpadliśmy na to, że właściwie można było pojechać autobusem z Katowic prosto do Lwowa), tam kilka godzin czekaliśmy na pociąg do Iwano-Frankowska, m.in. w knajpce o zacnej nazwie „Krzywa Lipa". W Iwano-Frankowsku, po pierwszym zetknięciu się z ukraińskimi upałami – w pociągu mieliśmy pierwszą, całkiem darmową saunę – spędziliśmy kolejne kilka godzin. Tym razem na siedzeniu w dworcowym barze 24h i oglądaniu muzycznych programów z największymi lokalnymi (i nie tylko) przebojami. Zgodnie polecamy hit „I am the law". Posłuchajcie, a zrozumiecie, co tam przeżywaliśmy! Potem już tylko kilka godzin w elektryczce do Rachowa i nad ranem świeżutcy mogliśmy wyruszać w trasę.

Natalia, Metzger, Ania Sz., Huchel

Dzień II: Świdowiec. Przejście pod Bliźnicę i odbicie na Urdę. Tam nocleg w pustostanach – naszym pięciogwiazdkowym sylwestrowym hotelu (siedem osób i kilka budynków, w których można było spać, korzystać z pieca – luksus nad luksusy). 40 minut wcześniej też znajduje się bacówka, ale daleko od lasu i bez pieca. My postawiliśmy na komfort. Pogoda piękna, a niepotrzebnych rakiet używaliśmy z coraz większą determinacją. Powstała nawet kontynuacja starej już serii kawałów, która brzmiała między innymi tak: „Twoja stara chodzi w rakietach po trawie". Cóż, niejeden z nas był tego dnia choć przez chwilę główną bohaterką dowcipu.

Dzień III (1.01.2014): Świdowiec. Z Urdy przeszliśmy przez Stiha na Bliźnicę. Stamtąd czerwonym szlakiem przez pełną stai Połoninę Braiwkę aż do Kwasów. Najdłuższy dzień. Pogoda najpiękniejsza, wspaniałe widoki na bliższe i dalsze grupy górskie. Zobaczyliśmy widmo Brockenu i … przy okazji przegapiliśmy powitanie Nowego Roku 2. Bo to było tak…

Pomyśleliśmy, że skoro już jedziemy na Sylwestra, to można by zaszaleć i spędzić go „na mieście". Ale nijak miało się to do naszych planów dotyczących gór, w które przede wszystkim przecież pojechaliśmy. Zdecydowaliśmy się więc na świętowanie nadejścia Nowego Roku dzień później – po zejściu ze Świdowca do Kwasów. Wtedy okazało się jednak, że jak o noclegi w bacówkach się zatroszczyliśmy, tak nie pomyśleliśmy, żeby zorientować się, jak wygląda kwestia spania w Kwasach. A wyglądała smutno. Nikt nas nie chciał. W hotelach, przed którymi stały po trzy samochody, mówiono nam, że nie ma miejsc. To samo w prywatnych kwaterach. Nikt nic nie wiedział i nikt nie chciał wiedzieć. Dopiero w miejscu naszej ostatniej nadziei, ostatnim hotelu (a było ich kilka), udało nam się coś wskórać. Może to nasze nieszczęśliwe miny, a może zdecydowany kobiecy trójgłos „Bierzemy! Jest nas siedmioro!" na wieść o tym, że dostępny jest jeden pokój dwuosobowy, ewentualnie wyrażenie chęci spania w jadalni na podłodze, albo po prostu dobre serce pracującej tam kobiety sprawiły, że wspomniana pani zaproponowała nam ostatecznie nocleg u siebie. I wzięcie prysznica w saunie.

c.d str. 2

Przed Sylwestrem bawiliśmy się więc w bani. A kiedy już dotarliśmy na kwaterę, przypomnieliśmy sobie o Nowym Roku grubo po północy.

Dzień IV: Czarnohora. Dzień najkrótszy. Wbicie na grzbiet i – po 3 godzinach spaceru – dojście do Menczula Kwasiwskiego (Muńcuła Kwasowskiego?). Tam osiedle stai i nocleg w chacie oklejonej plakatami z Janukowyczem i Tymoszenko oraz firanką w oknie. Pogoda jak w dniach I, II i III i niekończące się kalambury. W trudności zgadywania haseł „flisz karpacki", „orogenezę", „sosręb" czy „Świnią Skałę" przebiła poczciwa „Rabka".

Dzień V: Czarnohora. Pogoda gorsza (za to pyszna kaszka na śniadanie), a my czerwonym szlakiem poszliśmy na Petrosa (2020 m n.p.m.). Jak się później okazało, było to najwyższe wejście naszego wyjazdu. Na nocleg zeszliśmy do bacówki położonej w okolicach Połoniny Skopeskiej.

Dzień VI: Czarnohora. Ciąg dalszy pysznej kaszki – tylko Metzger wolał od niej ośmiodniowy chleb. Pogoda najgorsza. 20 minut przed szczytem Howerli zawróciliśmy. Po drodze jednak dokonaliśmy małych odkryć – na własne oczy widzieliśmy ekologiczny punkt Peremyczka, gdzie można nocować w przyjemnych warunkach i dalej nowiutki i pachnący jeszcze świeżością schron pod Howerlą. I to by było na tyle. Żółtym szlakiem ruszyliśmy w kierunku Łazeszczyny. Nie doszliśmy do niej jednak, bo w połowie drogi trafiliśmy na bar. Stamtąd rozklekotanym autem pojechaliśmy z „szoferem" prosto do Jasini. Z Jasini nocnym pociągiem do Lwowa. I tak dalej, aż do Tychów, Katowic, Zabrza i Gliwic.

Ania Sz.

Metzger i Huchel

Ania M.

Zima stulecia właściwie taką się okazała – kto pamięta, żeby na przełomie grudnia i stycznia było aż tak ciepło? Ukraina była dla nas łaskawa. Ale może dlatego właśnie tym bardziej chcemy tam wrócić.

Ania Szczepanek (tekst i zdjęcia)

WEEKEND W JESENIKACH

W długi weekend 11.11.2013 postanowiliśmy się gdzieś wybrać. Prognozy nie były rewelacyjne więc długo nie mogliśmy się zdecydować gdzie i na jak długo pojechać. W końcu umówiliśmy się z Paskudą i Żabami, że wybierzemy się w Jeseniki. My i Paskuda mieliśmy jechać w sobotę wieczorem, Żaby następnego dnia rano. Wymyśliłem, że możnaby zanocować w schronisku na Czervenohorskim Sedle. Wiedziałem, że niedawno był tam organizowany ERG, więc obiekt powinien być OK. W piątek wieczorem napisałem maila do schroniska. Ponieważ w sobotę rano odpowiedzi nie było, więc koło południa zadzwoniłem. Odebrała jakaś kobieta, która stwierdziła, że odpowiedź została już wysłana i możemy przyjechać. Sprawdziłem pocztę – odpowiedź była dość lakoniczna i nie bardzo rozumiałem o co chodzi, a brzmiała tak: „Jsme tu".

Wyjechaliśmy ok. godz. 17:00 i bez większych przygód ok. 20:00 dotarliśmy na przełęcz, na której znajduje się kilka obiektów – schronisko, hotel, jakieś pensjonaty. Wokół było pusto, ciemno, zimno i mgliście. Poszedłem na zwiady zostawiając dziewczyny w aucie. Pierwsze wrażenie po wejściu do przedsionka wzbudziło pewne obawy. Na ganku jakieś rupiecie, korytarz dość obskurny, po lewej obite sklejką drzwi z napisem „Restauracia". Po wejściu ujrzałem wnętrze przypominające raczej „hostinec". Przy stoliku, siedziało kilku mężczyzn i piło piwo. Po chwili weszła pani bufetowa, a zarazem kierowniczka – kobieta w średnim wieku, w żółtej kamizelce. Przedstawiłem się, a ona potwierdziła, że ma dla nas 7-osobowy pokój.

Poszedłem zatem po Jolę i Paskudę, ostrzegając je od razu, że standard schroniska jest specyficzny. Pani kierowniczka zaprowadziła nas na piętro i z niejakim trudem otworzyła drzwi pokoju. Pokój był długi, oświetlony jedną słabą żarówką, w kącie umywalka, stolik, szafa. Wszystko pamiętające poprzednią epokę. Poza tym zimno – mimo włączonego małego, elektrycznego grzejniczka. Zachwyceni nie byliśmy, ale zeszliśmy do bufetu, aby napić się czegoś ciepłego. Pani wpuściła nas do sali restauracyjnej – nieco porządniejszej niż bufet, ale i tak mało przytulnej i zimnej. Teraz nastąpiła seria nieporozumień przy zamawianiu napoi (pani n.p. nie bardzo rozumiała gdy spytałem czy mają grzane piwo), ale przede wszystkim była niezbyt zadowolona, że nie chcemy nic do jedzenia. Poza tym okazało się, że mamy zapłacić 230 KC za nocleg z pościelą zamiast 170 bez, mimo iż nie prosiliśmy o pościel. Na koniec musiałem się jeszcze upomnieć o zamówione piwo, gdyż pani uznała, że jak nie ma grzanego, to nie chcę żadnego.

Po tych nieporozumieniach wróciliśmy do pokoju. Tu znów wystąpiły problemy z otwarciem drzwi. Okazało się, że wymagają solidnego kopa, aby dały się otworzyć. Łazienki – niby odnowione – ale w jednej popsute światło, w innej automat zapalający światło działał dopiero po przebyciu ciemnego korytarza i otwarciu kabiny, natomiast spłuczka pisuaru włączała się tworząc malowniczy prysznic po zbliżeniu się do umywalki. Po tych atrakcjach zaczęliśmy już rozważać „ucieczkę" z tego miejsca do znanej nam z wyjazdu narciarskiego kwatery u pani Jarząbkowej w Lipowej Luznej. Próbowałem nawet tam zadzwonić, ale nikt nie odbierał. Postanowiliśmy zatem zostać tę jedną noc, a rano wyjechać i na kolejną noc zmienić lokal.

Bufet miał być otwarty o 8:00 rano. Z Żabami byliśmy umówieni o 9:00 w Karlovie pod Pradedem czyli ok. 30 km od naszej przełęczy. Wstaliśmy o 7:00, zrobiliśmy śniadanie i ok 8:00 zszedłem na dół, aby zamówić herbatę i załatwić formalności. Bufet był jednak zamknięty na głucho podobnie jak pokój z napisem „Recepcja". Po 10 minutach ponowiłem próbę, przy okazji znosząc plecak, aby spakować go do auta. Bufet był nadal zamknięty, a co gorsze – schronisko również. Dziewczyny zeszły już na dół i zaczęliśmy kombinować co zrobić w tej sytuacji. Zadzwoniłem na telefon schroniska, który odezwał się gdzieś za ścianą, ale nikt nie odbierał. Zadzwoniłem zatem do Żab, żeby poinformować o naszym położeniu. I w tym momencie pojawiła się pani kierowniczka. Na nasze zastrzeżenia odpowiedziała, że przecież klucz od drzwi zewnętrznych jest przy kluczu od pokoju. Maksymalnie wkurzeni powiedzieliśmy, że płacimy i nie zostajemy na kolejną noc. Dziewczyny kupiły tylko herbatę do termosu i opuściliśmy obiekt.

Na spotkanie z Żabami oczywiście spóźniliśmy się, ale potem wszysto przebiegało już bez problemów. Zrobiliśmy całkiem przyjemną wycieczkę oglądając Vellki Kotel pod głównym grzbietem i odwiedzając schronisko Ovcarna gdzie posililiśmy się. Droga powrotna prowadziła głównym grzbietem przez Vysoką Holę i Jeleni Hrbet. A przed końcem wycieczki zadzwoniłem do pani Jarząbkowej i załatwiłem nocleg. Tym razem nie było niespodzianek – kwatera była przyjemna, a gospodarze bardzo mili. I cena niższa niż na Czerwonohorskim Sedle.

A na zajutrz poszliśmy na jeszcze jedną wycieczkę – z Belej przez Wysoki Wodospad do schroniska Szwycarnia na pyszne kluchy. Tego dnia przenieśliśmy się ze strefy jesieni do zimowych krajobrazów w górnych partiach Jeseników.

Jacek Ginter

TO BYŁO

✔ Z większych imprez sylwestrowych prócz opisanego obok Sylwestra w Czarnohorze należy odnotować Sylwester w Krempnej w Beskidzie Niskim, w którym uczestniczyli Harnasie, kursanci, oraz przedstawiciele SKPB Lublin.

✔ Jak wyjaśnił Prezes Rada skupia się obecnie na promocji nowego kursu (nowa podstrona internetowa, profil na facebook'u, plakaty, itp.) oraz na dopełnieniu wszelkich formalności związanych z działaniem Stowarzyszenia (sprawozdania, dokumenty). Stąd chwilowo brak zebrań i prelekcji.

TO BĘDZIE

- 15-16.02 Rajd Zimowy z metą w Sopotni.
- **22-23.02 Blachowanie kursu 2012/13** odbędzie się w schronisku PTTK na Turbaczu – czyli zgodnie z rozszerzonym programem kursu po raz pierwszy na nowym terenie uprawnień.
- 04.03 start nowego kursu przewodników beskidzkich SKPG Harnasie!
- 22-23.03 Rajd Jaskiniowy
- 12-13.04 Rajd na Powitanie Wiosny
- 10-11.05 Rajd Igrowy